

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

5 (Ciąg dalszy).

— Gdyby oni rzeczywiście byli niewinni — Boże, mój Boże! — Gdyby pewnego dnia moja dobra matka, której przecież nigdy nie widziałam, zjawiała się przedemną i rzekła: „Tu, moja córko, staję teraz przed tobą, jako ofiara cudzej zbrodni, skazana za nieswoje winy — pójdź w moje ramiona, moje dziecko, możesz teraz spocząć na matczynej piersi, bo ja jestem niewinna i czysta!“ — o, gdybym mogła dożyć tego dnia, tej szczęśliwej godziny — to byłaby to najszczęśliwsza chwila w mem życiu!

Ostatnie jej słowa zamarły w cichym łkaniu, które wstrząsało całą jej postacią.

— Lauro, panno Lauro! — dał się w tej chwili słyszeć od strony parku czysty głos paniński.

Młoda hrabina podniosła się nagle.

— To hrabianka Wilma! — zawołała przestraszona.

Potem objęła w ramiona stojącą przed nią kobietę i przycisnęła ją do serca.

— Bądź zdrowa kochana, dobra pani Renault! Mam nadzieję, że się znowu wkrótce zobaczymy!

Po tych słowach tłumiona dotąd miłość matczyńska przełamała wszelkie szranki, pani Renault objęła rękoma głowę hrabiny, przyciągnęła ją ku sobie i wycisnęła na jej ustach gorący pocałunek.

Laura wyrwała się wreszcie z jej objęć i pobiegła do parku.

Pani Renault upadła na ławkę, jak oszołomiona; pierwszy pocałunek, złożony na ustach jej Gizeli, zrobił na niej takie wrażenie.

Siedziała długo, pogrążona w myślach i jakby bez życia, nieruchoma.

Już noc zapadła, kiedy odzyskała przytomność i powstała.

Podniosła ze ziemi zawiniątko, zabierając się do odwrotu. Zawiniątko to doprowadziło ją do celu, bo przecież ono było tylko pozorem przyczyny jej odwiedzin; mogła więc zabrać napowrót ze sobą te rzeczy, które pokojówce hrabianki tak czy tak nie były już potrzebne.

Doszedłszy do młyna, udała się natychmiast do swej izdebki.

Dusza jej przepełniona była naprzemian radością i smutkiem.

„Oszołomiona z radości — a jednak rozpaczliwie smutna!“

Ten frazes zakochanych można było zastosować do jej obecnego położenia.

Bo ona mogła równocześnie z radości krzyczeć i płakać, śmiać się i konać z bólu.

Niewinna, a jednak wzgardzona, niewinna, a jednak przez cały świat i przez własną córkę uważana za zbrodniarkę!

I dokąd się ma zwrócić, u kogo szukać dowodów swej niewinności?!

Znużona i zmęczona najrozmaitszymi uczuciami, jakie szarpały jej serce, siedziała samotna przy małym stolczku, na którym płonęła lampa.

Wtem ktoś zapukał lekko i jakby trwożliwie do drzwi.

— Proszę! — zawołała, podnosząc się powoli ze stołka.

Do izdebki wszedł młynarz.

— Niech pani siedzi, kochana pani Renault — rzekł uprzejmie. — Ja usiądę przy pani i będziemy gwarzyli.

Przysunął sobie stołek i usiadł.

Pani Renault poznała natychmiast, że mu coś ciąży na sercu. Już sama ta okoliczność, że przyszedł do jej izdebki, teraz po raz pierwszy, musiała zwrócić jej uwagę.

Młynarz mówił z początku o swoim zawodzie, potem o złych czasach, wreszcie o rozmaitych innych rzeczach, ale widać było, że ma coś do powiedzenia, co mu przez gardło przejść nie chce. Płatał się i mówił trzy po trzy.

— Ma mi pan może co ważnego do powiedzenia — przerwała mu kobieta. — Jeśli tak, to mów pan, proszę, bez ogródek.

Młynarz poskrobał się w głowę.

— Niestety, jest to wiadomość, którą niechętnie z panią podzielić się muszę...

— Nie, nie, mów pan otwarcie, cokolwiek to jest, ja jestem na wszystko przygotowana.

Młynarz sięgnął do kieszeni i wyjął z niej jakiś zadrukowany papier. Rozwinął go i podał kobiecie.

— Niech pani przeczyta tę szmatę! — rzekł ze złe utajonym gniewem.

Było tam zaledwie kilka wierszy, które kobieta szybko okiem przebiegła.

Z początku zbłądła, później twarz jej pokryła się ciemnym rumieńcem.

Przez kilka minut patrzyli na siebie w milczeniu.

— Co tu robić? — ozwał się wreszcie młynarz grobowym głosem.

Pani Renault wzruszyła smutno ramionami.

— Musimy się ugiąć pod przemocą.

Znowu nastąpiła długa chwila milczenia.

— A więc mnie, niewinnie skazaną i pogardzaną, wyrzucają nawet z tej skromnej izdebki, którą mi szlachetne serca ludzkie ofiarowały! — rzekła wreszcie z goryczą pani Renault.

— I że się też nawet tu znalazł także Judasz, który panią zdradzić musiał! — syknął młynarz z gniewem.

— Może to ten uprzejmy szynkarz doniósł hrabiemu nowinę?

Młynarz skinął głową potwierdzająco.

— A chociaż hrabia grozi mi wypowiedzeniem, na wypadek, gdyby pani dalej u mnie pozostała, to jednak ja się nie poddam jego barbarzyńskim rozkazom — zawołał i uderzył pięścią w stół.

Pani Renault powstrzymała go ruchem ręki.

— Nie mam zamiaru dopuścić do tego, żeby wasza dobroć i uprzejmość miały być dla was przyczyną ruiny.

Silnie i stanowczo brzmiały te słowa; ale czuć było łzy w jej głosie, kiedy dodała:

— Z zakrwawionem sercem opuszczę to ciche ustronie; ale dobroć i uprzejmość, jakich tu doznałam, nie wyjdą mi z pamięci, a moja wdzięczność dla szlachetnych dobroczyńców, dla pana i pańskiej żony, nigdy w sercu mem nie zagaśnie.

Młynarz podniósł się i podał jej rękę.

— Jakiś czas jeszcze pani u nas pozostanie, kochana pani Renault, przynajmniej dopóty, dopóki mi się nie uda znaleźć innego dla pani schronienia.

Z temi słowy opuścił izdebkę.

Około północy wyszła z młyna przez tylne drzwi jakaś ciemna postać.

Była to pani Renault, która z małym tobołkiem, w jakim mieścił się cały jej doczesny majątek, opuszczała ten dom — na zawsze.

— Bywajcie zdrowi, wy drodzy, dobrzy ludzie — mówiła ze łkaniem. — Niech Bóg Wszechmocny wynagrodzi was za to, coście dla mnie biednej zrobili!

Zdusiła łzę w oku i poszła.

— Znowu bez dachu — włóczęga, żebraczka bezdomna!

Ze ściśniętej piersi wyrwały się jej jeszcze te słowa, poczem wkrótce znikła w ciemnościach.

Kiedy na drugi dzień pani Renault nie pokazała się aż do godziny dziewiątej, udała się młynarka do jej pokoju.

Ujrzała, że przeczucie jej się sprawdziło; pani Renault znikła.

Łóżko było zupełnie nietknięte, było więc rzeczą pewną, że biedna kobieta opuściła młyn zaraz po rozmowie z jej mężem.

Pani Matern otarła łzy z oczu.

— Biedna, ciężkimi doświadczeniami losu smagana kobieta, czemuż ją znowu na pole wypędzono?!

W milczeniu wyszła z pokoju.

VII.

Komisarz policyi.

Hrabia Jan Mironeau miał gości.

Pan Adolf Brepont, wysmukły młodzieniec, przybył wieczornym pociągiem z Paryża do najbliższej stacji, gdzie go już oczekiwał młody hrabia, dawny kolega przy wojsku.

Było już późno po północy, kiedy powóz, wiozący obydwóch panów, zajeżdżał przed pałac zamkowy. W pałacu wszystko spało i tylko jakiś zaspany służący przyjął przybyłych.

Po krótkiej przekąsce udali się obydwaj na spoczynek.

Na drugi dzień rano, około dziewiątej, odbyło się wielkie śniadanie, podczas którego nastąpiły wzajemne przedstawienia. Potrawy były doskonale przyrządzone, wino najlepszej marki, była więc wesołość i humor.

Po śniadaniu udał się hrabia Jan wraz z gościem w głąb ogrodu. Wziąwszy się pod rękę, chodzili obydwoj po cienistych alejach, aż wreszcie usiedli na ławce. Rozmawiali dotychczas wesoło

i głośno. Naraz, kiedy usiedli, pan Brepont ozwał się nagle jakimś zmienionym głosem.

— Tu nas nikt nie podsłucha — rzekł — możemy więc omówić tutaj pewne rzeczy, które na razie muszą pozostać tajemnicą między mną a tobą.

— Cóż to za sprawa?

— Zaraz się dowiesz. Naprzód muszę ci powiedzieć, że po wystąpieniu z wojska, wstąpiłem do służby w policyi. Złożyłem wkrótce egzamin i zostałem jako komisarz przydzielony do sekcji spraw kryminalnych.

— A — winszując!

— Dzięki!

Podali sobie ręce.

— A więc zostałeś śledczym komisarzem! Odkryłeś w sobie zdolności do tak uciążliwego stanowiska?

Zapytany uśmiechnął się.

— Właściwie dotychczas nie miałem jeszcze sposobności przekonać się o moich zdolnościach. Dopiero przed kilku dniami oddał mi szef bardzo ciężką sprawę...

— No, i ty?

— I właśnie dlatego tu przybyłem, aby tę sprawę załatwić.

Hrabia oniemiał. Pytający wzrok zwrócił na przyjaciela.

— Ależ ty chyba żartujesz, Adolfe!

— Skądże znowu! Mówię najzupełniej seryo. Pisałem ci poprzednio, że chciałem się trochę tutaj na wsi odświeżyć, ale to był tylko pozór.

— Więc przyjechałeś tutaj w sprawie urzędowej?

— Tak jest. W każdym jednak razie jestem nad wyraz szczęśliwy, że mogłem się z tobą zobaczyć.

— Nie mówmy o tem — przerwał ostro hrabia. — Nie jesteś tutaj jak przyjaciel u przyjaciela, ale jako urzędnik policyi. To zmienia sytuację.

— Bynajmniej!

— Ale owszem! Obowiązek przede wszystkim. O cóż więc chodzi?

Pan Brepont wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął zeń jakieś pismo.

— Cóż to, rozkaz aresztowania? — zapytał głośno Jan, uśmiechając się z przymusem.

— Tak daleko jeszcześmy nie doszli — na razie chodzi tylko o wyświetlenie kilku bardzo ważnych szczegółów. Może zechcesz to pismo przeczytać? Jest to list anonimowy, jaki otrzymaliśmy przed kilku dniami.

— Nie, lepiej opowiedz mi.

— A więc słuchaj. Chodzi tu o zamordowanie twego stryja...

— Ba, stara historia, nad którą już dawno trawa rośnie.

— Tak sądzisz?

— Naturalnie. Morderców wtedy schwytano i ukarano należycie. I na tem się skończyło.

— A może się nie skończyło!

— Jak? — co?

— Jak się zdaje, rządcą Bernere padł ofiarą pomyłki sądowej.

— Co? Pomyłki sądowej? — zawołał Jan, blednąc. — Chybaś zmysły stracił?!

— Tutaj, w tym liście, oświadcza jakiś nieznajomy człowiek jasno i stanowczo, że małżonkowie Bernere zostali niewinnie skazani; morderca zaś, pisze dalej nieznajomy, jeszcze żyje. Sam ten człowiek, który ten list pisał, nie może jednak wykazać żadnych dowodów, gdyż jest związany przysięgą.

— Kłamstwo! Szwindel jakiś! — rzucił hrabia.

— List ten nie robi wcale takiego wrażenia. Zresztą wkrótce się przekonamy, czy to prawda, czy nie.

— Jak? W jaki sposób?

— Do listu dołączona była jeszcze karteczka, a w niej wskazana została pewna tajemna rzecz, o której tylko ten może wiedzieć, który przy zamordowaniu twego stryja ważną odegrał rolę.

— A! Cóż to takiego?

— To na razie musi jeszcze pozostać moją tajemnicą.

— Jaki? Nie wierzysz mi? — wykrzyknął hrabia.

— O tem niema mowy; ale tajemnicy urzędowej nikomu zdradzać nie wolno.

Twarz młodego hrabiego sposepniała.

— Słuchaj, te tajemnice wcale mi się nie podobają! Ostatecznie może się jeszcze pokazać, że także ja brałem udział w morderstwie — nie tak, stary przyjacielu?

Pan Brepont powstał nagle.

— Dalibóg nie wiem, co mam sądzić o tobie